

PAUza

Akademicka



Rok XIII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 531 Kraków, 12 listopada 2020

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Znów spór o aborcję

Wydarzenia, które nastąpiły w Polsce po dniu 22 października br. w związku ze stwierdzeniem przez „Trybunał Konstytucyjny” pod przewodnictwem sędzi TK Julii Przyłębskiej sprzeczności z Konstytucją RP przesłanki określonej w art. 4a par. 1 pkt. 2 tzw. ustawy antyaborcyjnej z 1993 r., pozwalającej w wypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu na dokonanie aborcji, stały się powodem trwających już ponad dwa tygodnie zamieszek i poważnego konfliktu społecznego i politycznego. Rozmiary tego konfliktu zostały znacznie zwiększone przez kontekst narastającej pandemii, a także wypowiedzi czołowych polityków strony rządzącej i przedstawicieli Kościoła katolickiego. Chcę w tym miejscu wyjaśnić podłoża wyrażanych ocen zapadłego orzeczenia, zarazem różnic w ocenach dopuszczalności przerywania ciąży.

Nie ulega wątpliwości, że chodzi o dwie płaszczyzny tych ocen: moralną i prawną. Na obszarze ocen moralnych, szczególnie opartych na społecznej nauce Kościoła katolickiego, każde pozbawienie życia istoty rozwijającej się w ciele kobiety od poczęcia do urodzenia jest zabiciem człowieka i jest uznawane za zło. Z punktu widzenia ocen prawnych sprawa jest skomplikowana. Przede wszystkim nie jest, z punktu widzenia dużej grupy społeczeństwa, w tym także wielu prawników, jednoznacznie ustalony moment, od którego powstały zarodek traktowany jest jako człowiek, a więc jako podmiot podlegający ochronie prawnej, jako dobro prawne. W interpretacji art. 38 Konstytucji zachodzą w tej kwestii zasadnicze różnice. Ustawodawca, przy rozstrzygnięciu tego problemu, powinien brać pod uwagę stanowisko różnych grup społecznych. Na gruncie prawa polskiego wydaje się, że rozwijająca się w łonie matki istota traktowana jest jako dobro prawne, że jest rozwijającym się człowiekiem. Gdyby nawet pominąć treść orzeczenia TK z 1997 r., to nie da się przejść do porządku dziennego nad stanowiskiem zajęтым przez ustawodawcę w art. 2 ustawy o Rzeczniku Praw Dziecka ze stycznia 2000 r., w którym jest jednoznacznie stwierdzone, że za dziecko należy traktować istotę ludzką od poczęcia do ukończenia 18 lat. Ten przepis nie był zaskarżony do TK jako niezgodny z Konstytucją. Także Europejski Trybunał Sprawiedliwości uznał w 2011 r. zarodek ludzki za istotę obdarzoną godnością człowieka. Orzeczenie ETS ma moc obowiązującą na terenie Polski jako członka Unii Europejskiej. W tym stanie rzeczy istota rozwijająca się w ciele matki od poczęcia do rozpoczęcia porodu musi być przez prawo traktowana jako dobro podlegające ochronie. W orzeczeniu TK z 1997 r. stwierdzono, że ochrona prawna człowieka od poczęcia do śmierci,

jako dobra prawnego, nie musi być na każdym etapie rozwoju w takim samym stopniu intensywna. Intensywność ochrony, a nawet w określonych wypadkach rezygnacja z ochrony, są uzależnione od oceny konfliktu między dobrem, jakim jest życie ludzkie, i innymi kolidującymi z nim dobrami – w sensie rozstrzygnięcia tego konfliktu w oparciu o wynik wyważenia kolidujących dóbr. W orzeczeniu TK z 28 maja 1997 r., wydanego pod rządami obowiązującej wtedy Konstytucji, przyjęto, że obowiązująca przesłanka zezwalająca na przeprowadzenie aborcji ze względów społecznych jest niezgodna z Konstytucją, gdyż w każdym wypadku wzgląd na okoliczności natury społecznej ma niższą wartość niż wartość rozwijającego się życia człowieka, i to bez względu na zaawansowanie tego procesu. W stanowisku podjętym 22 października tego roku przez osoby badające legalność przesłanki określonej w art. 4a par. 1 pkt. 2 tzw. ustawy antyaborcyjnej, zezwalającej na aborcję przy zachodzeniu określonych w tym przepisie okoliczności, uznano tę przesłankę za niezgodną z obowiązującą dzisiaj Konstytucją. W ujawnionych materiałach uzasadniających przyjęte stanowisko nie znalazłem oparcia tego rozstrzygnięcia na badaniu wagi wartości życia dziecka z wartością stanu psychicznego i fizycznego matki dziecka, a także stanu psychicznego jego ojca. Ujęta w badanym przepisie przesłanka obejmuje różne stany wadliwości rozwoju płodu, także takie, w których zakaz aborcji zmuszać będzie, szczególnie kobietę, do heroizmu. Prawo nie może, zgodnie z art. 30 Konstytucji, wymagać od człowieka heroizmu. Stąd uważam, że stanowisko osób je zajmujących jest merytorycznie, z punktu widzenia prawa, błędne.

Przedstawione wyżej stanowisko ma jeszcze inne zasadnicze braki prawne. Jest bowiem bezsporne, że w składzie osób stwierdzających zakaz aborcji w oparciu o tzw. przesłankę embriopatologiczną zasiadały osoby nieuprawnione do orzekania w Trybunale Konstytucyjnym. Nie zostały one bowiem wybrane w sposób określony w Konstytucji i w ustawie o TK. Chodzi o tzw. dublerów, a więc osoby wybrane przez Sejm do Trybunału Konstytucyjnego na miejsca już wcześniej – zgodnie z prawem – obsadzone przez Sejm poprzedniej kadencji. Także sędzia TK pani Julia Przyłębska została powołana przez Prezydenta RP w sposób naruszający Konstytucję, gdyż jej kandydatura nie została przedstawiona Prezydentowi przez uchwałę Zgromadzenia Ogólnego TK. Z tego wynika, że tzw. „orzeczenie” zostało wydane przez tzw. „Trybunał Konstytucyjny” pod kierunkiem tzw. „Prezesa Trybunału”. Słusznie więc nie zostało opublikowane w Dzienniku Ustaw i nie posiada mocy obowiązującej.

ANDRZEJ ZOLL



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Rewolucja w języku

Odbывая się ostatnio protesty po orzeczeniu Trybunału w sprawie zaostrenia przepisów antyaborcyjnych są bardzo interesujące także pod względem językowym. Bez względu na to, czy pojawiające się na transparentach i wykrzykiwane przez demonstrantów hasła nas rażą, irytują, bawią czy zachwycają — warto im się przyjrzeć. Także dlatego, że jest to największy, najliczniejszy protest uliczny w historii Polski. Liczbę protestujących tylko 28 października ocenia się na ponad 400 tysięcy (w 410 miastach). Mniej liczny był nawet Wielki Strajk Chłopski w 1937 roku.

Zacznijmy od wulgaryzmów, bo to one najbardziej rzucają się w oczy i uszy. Główne hasło protestu, „W...ć”, niesione na wielkim transparentie, uznać można za przekroczenie granic i złamanie zasad. Potrafię zrozumieć oburzenie, jakie wywołało ono w wielu osobach, także w językoznawcach. Ale miejmy też świadomość, że na bunt oburzamy się wtedy, kiedy go nie rozumiemy, kiedy nie widzimy jego sensowności. A dokładniej: nie rozumiemy potrzeby aż takiej jego radykalizacji. Zwróćmy uwagę na trzy kwestie. Po pierwsze, to nie są pierwsze protesty w sprawie aborcji w ciągu ostatnich lat. Poprzednie zostały przez rządzących zignorowane. Czemu na tych protestach hasła są tak radykalne? Czemu kobiety nie maszerują pod transparentami z łagodnymi hasłami: „Jestem zaniepokojona”? Odpowiedź przynosi jedno z hasel, które pojawiło się w pierwszych dniach ostatnich protestów: „Zaniepokojona to ja byłam w 2016”. Orzeczenie TK jest niepodważalne, z prawnego punktu widzenia zamyka dyskusję. A skoro dyskusja jest zamknięta, to czemu liczymy, że hasła na protestach będą łagodnie zachęcały do dialogu? Po drugie, w patriarchalnym społeczeństwie kobietom szczególnie „nie wypada” przeklinać, stąd siła wulgarnych hasel zwiększa się, gdy wypowiadają je kobiety. Po trzecie, wulgaryzmy należą do tzw. ekspresywizmów, czyli słów wyrażających emocje. Decyzja Trybunału i komentarze prawników polityków i publicystów wywołały skrajne emocje, czyli stan, w którym posługiwanie się wyrazami emocji jest uprawnione, czy tego sobie nasze uszy życzą, czy nie. Są takie słowa, których używamy na co dzień, są też takie, którymi posługujemy się przy specjalnych okazjach. Sytuacja, w której zostały postawione kobiety (i wspierający je mężczyźni) jest szczególna. Wulgaryzmy w sferze publicznej, do tej pory zarezerwowane w pewnym sensie dla niższych klas społecznych, są używane nawet przez tych, którzy do tej pory tego nie robili, bo tak byli wychowani. Skłonny byłbym nawet do stwierdzenia, że nastąpiła swoista „demenelizacja” wulgaryzmów. I wbrew obawom wielu komentatorów nie wierzę, by po protestach słowo „w...ć” straciło swoją ekspresywną moc i stało się słowem neutralnym.

Łatwo zauważyć, że to także bunt młodych przeciwko starym, nazywanym pogardliwie „dziadersami”. Należą do nich nie tylko przedstawiciele partii rządzących, ale i wszyscy ci, którzy — jak notuje internetowy słownik neologizmów „Nowe wyrazy”, tworzony na Uniwersytecie Warszawskim — głównie „mężczyzna, zazwyczaj wpływowy, traktujący kobiety (rzadziej: osoby młode) w sposób lekceważący, protekcyjny, przedmiotowy, przejawiający poczucie wyższości”.

Dziadsersem okazał się więc także prof. Andrzej Rzepliński (w radiowym wywiadzie nazywający protestujące osoby „holotą” — potem twierdził, że tak nie powiedział) czy marszałek Senatu Tomasz Grodzki, który powiedział: „To kobiety sprawiają, że nasze codzienne życie toczy się harmonijnie i gładko, w sposób trochę jakby niezauważalny”. To przykład na to, że nawet broniąc kobiet można nie zauważyć, że traktuje się je protekcyjnie i w gruncie rzeczy pokazuje się własne skostniałe i przestarzałe poglądy. Bo świat, w którym się żyje, jest wygodny i uporządkowany. A to jest właśnie bunt przeciwko porządkowi świata. Przeciwno opresyjnej polityce, nie tylko obecnie rządzącej formacji politycznej. Polityce „dziadersów”.



Maria Poprzęcka słusznie zauważyła, że ostatnie protesty mają charakter spontaniczny i zindywidualizowany: „Rękodzielniczy charakter bieda-transparentów to jeszcze jedna, może najważniejsza cecha tego, co dzieje się na ulicach. Idzie nie zdepersonalizowany, ujęty w skoordynowane ramy pochód, lecz płynnie silnie zindywidualizowana wielka ludzka rzesza. Każdy uczestnik, wypisując i niosąc własne hasło, manifestuje siebie, swoją twórczą osobowość”. Niebywała jest kreatywność twórców hasel, którzy np. często sięgają do literatury. Od oczywistych cytatów i nawiązań do „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood, poprzez bliższe im pokoleniowo odwołania do Harry’ego Pottera i „Władcy pierścieni”, aż po odniesienia do polskiej literatury, zwłaszcza romantycznej. W czasie tych protestów okazało się, że literatura, nad którą przysypiali w szkole, może być tak aktualna: „Słuchaj dziewczeczko, ona NIE słucha!”, „Rozdziobią WAS kruki, wrony”, „Wokulskiemu lepiej szło z Łęcką niż wam z rządzeniem”. Pod tym względem najbardziej wymowne jest dla mnie hasło: „Uczyliście nas romantyzowania powstań, a teraz się oburzacie, że protestujemy”.

Trzeba powiedzieć jedno: język tych protestów wyraźnie odbiega od wszystkich dotychczasowych. Thomas Kuhn pisał, że rewolucja w nauce zaczyna się od rewolucji w języku. Czy ta zasada obowiązuje tylko w nauce? Nie sądzę. I myślę, że rządzący powinni mieć tego świadomość.

MICHAŁ RUSINEK

W tych dniach mija 75 lat od daty pierwszych polskich wykładów na Uniwersytecie Wrocławskim. Z tej okazji profesor Roman Duda przysłał nam kilka refleksji, które zamieszczamy poniżej

Redakcja

Fenomen polskiego Wrocławia

Mające długą historię miasto Wrocław/Breslau było w 1945 roku, mimo posiadania niewielkiej mniejszości polskiej, niemieckie i jako Festung Breslau broniło się przez 3 miesiące przed nacierającą armią sowiecką aż do kapitulacji Niemiec. Kiedy konferencja poczdamska przyznała je Polsce w sierpniu 1945, było morzem ruin, w którym nadal przebywało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy Niemców i zaledwie kilka tysięcy napływających Polaków, miastem systematycznie rabowanym przez Sowieców i płądowanym przez rodzimych szabrowników. O stosunkach wtedy panujących niech świadczy incydent: Bolesław Drobner, pierwszy prezydent miasta, poszedł w czerwcu 1945 roku do sowieckiego komendanta, żeby przerwać wywożenie fabryk, i został przez niego znieważony; poskarżył się wówczas Bierutowi, który zareagował błyskawicznie – odwołał Drobnera (po miesiącu sprawowania funkcji prezydenta).

Rabunek i szaber w końcu ustały, ostatnich Niemców wysiedlono i nastąpiła całkowita wymiana ludności. Legenda głosi, że Wrocław zasiedlili lwowianie. W istocie przybyli z zabranego Polsce Lwowa było zaledwie kilka procent, ale były wśród nich dwie ważne grupy: profesorowie lwowskich uczelni, którzy tworząc polskie szkolnictwo, nadali miastu wysoką rangę, oraz tramwajarze, których kresowy zaśpiew słyszeli wszyscy. Ale wszyscy przybyli – z kresów, środkowej Polski i zza granicy (reemigranci) – to nowe miejsce osiedlenia z pionierskim zapałem odbudowywali i zagospodarowywali. Po niemieckiej przeszłości pozostało dzisiaj kilka wysokich gruzowisk na obrzeżach i mury nielicznych zabytków, pieczołowicie przez lata restaurowanych. Resztę wypełniła nowa tkanka, polska, której ważnymi elementami są przeniesione ze Lwowa Ossolineum i Muzeum Panoramą Raclawickiej.

Ważniejsi od murów byli ludzie, bo to oni tworzyli środowisko i atmosferę. Przybyli z Lwowa przyniosła atmosfera pionierska, ożywiana duchem poznawania i odbudowywania miasta, w którym zamierzali pozostać. Zasiedlano ruiny, które szybko rozkwitły kramami, warsztatami i sklepikami. Jednym z powojennych przybyli była Maria Dąbrowska, ale była tylko parę lat, a kiedy przyjechała z wizytą w 1949 roku – nie poznała miasta. Wrocław zszarzał i znikła pierwotna przedsiębiorczość – komuniści właśnie wygrali swoją „bitwę o handel”.

Nie było więc łatwo, ale na przekór trudnościom nowi wrocławianie trwali. Kiedy zjechałem tu na studia w 1952 roku, matematyki uczyli mnie czterech pionierzy, którzy byli tu od początku. Hugo Steinhaus, który znał to miasto z przejazdów do Getyngi, gdzie jeszcze przed I wojną światową studiował, a lata międzywojenne spędził we Lwowie i razem ze Stefanem Banachem stworzył słynną lwowską szkołę matematyczną, teraz miasta nie poznawał, ale z całym przekonaniem twierdził, że Polska tu pozostanie. Bronisław Knaster, wybitny topolog warszawski, który całą II wojnę światową spędził we Lwowie i przez Kraków przyjechał do Wrocławia, gdzie w końcu osiadł. Najmłodszy z pionierów Edward Marczewski, wychowanek szkoły warszawskiej, który w latach wojny przewinął się przez Lwów, a po powstaniu warszawskim wraz z żoną trafili do Breslau jako więźniowie i tu przeżyli oblężenie; ostatni nadzorca obozowy Marczewskiego został po kapitulacji jego pracownikiem i na taczakach zwoził ocalałe książki matematyczne, tworząc załazek bogactwa dzisiejszej biblioteki Instytutu Matematycznego Uniwersytetu Wro-

clawskiego. I najstarszy z nich Władysław Ślebodziński, który ze Lwowem nie miał nic wspólnego, a czas wojny spędził w Oświęcimiu i jeszcze w obozie przyrzekł sobie, że po wojnie zostanie profesorem w polskim Wrocławiu; to go podtrzymało na duchu, i słowa dotrzymał. Te cztery osoby stworzyły wrocławskie środowisko matematyczne, swoimi wynikami sprawiając, że matematyka wrocławska szybko zyskała rangę międzynarodową i przyciągała młodych adeptów. Zapoczątkowali tradycję, a okoliczność, że pozostali tu do końca swoich żywotów, sprawiła, że tradycja ta zakorzeniła się tutaj i wciąż jest żywa. Włączeni w tę tradycję czujemy się u siebie.

Na moim roczniku studenckim byli sybiracy, których rodziny, wywiezione przez Sowieców na początku wojny z kresów, teraz wracały do kraju i szukały nowego miejsca osiedlenia. Był zdemobilizowany żołnierz II Armii WP, który walczył pod Dreznem. Był chromy młody mężczyzna, postrzelony przez upojonego zwycięstwem krasnoarmiejca. Były dwie Żydówki, które potem wyjechały do Izraela. Było kilku Ślązaków i spolonizowany Niemiec z Bytomia. I było wielu innych. Wszyscy znaleźliśmy tu środowisko i entuzjazm pionierów, który i nas pociągnął i wciągnął.

Domów studenckich niemal nie było, toteż mieszkaliśmy na stacjach, raz u Ślązaków, a poza tym u kresowych rodzin (jedna z lwowianek jeszcze w latach 50. miała nierozpakowane walizki, bo wierzyla w powrót). Były jeszcze kartki, ale były też tanie bary mleczne. Polskich książek było mało, ale dostępne były niedrogie i dobre książki rosyjskie, oryginalne i przekłady, z nich więc poznawaliśmy nową matematykę. I był entuzjazm młodości, który nie bał się żadnych przeszkód.

Od początku aktywnie działało Polskie Towarzystwo Matematyczne (Oddział Wrocławski powstał jeszcze w 1945 roku) i już w roku 1946 zorganizowało we Wrocławiu pierwszy po wojnie Zjazd Matematyków Polskich, rok później założono szeroko dziś znane czasopismo matematyczne „Colloquium Mathematicum”, powstał Oddział Instytutu Matematycznego PAN. Żywe seminaria z teorii miary (Marczewski), topologii (Knaster), geometrii różniczkowej (Ślebodziński) i zastosowań matematyki (Steinhaus), a potem i inne, przynosiły nowe wyniki i przy nazwiskach autorów prac matematycznych coraz częściej pojawiało się miasto Wrocław (Marczewski był dumny, że był pierwszy, bo jeszcze z datą 1945). Pionierzy obrastali w uczniów, a potem ci uczniowie dorastali i miewali swoich uczniów. Środowisko rosło.

W mojej pamięci szczególnie utrwalił się rok 1978 z pierwszą pielgrzymką Papieża Polaka, witanego przez wielotysięczne tłumy, rok 1980, kiedy Wrocław zastrajkował i zrodził silny region „Solidarności”, i rok 1997, kiedy Wrocław nawiedziła potężna powódź. Wiele budynków uniwersyteckich znajduje się nad Odrą, ale woda z kanałów burzowych zalała też wtedy oddaloną od rzeki bibliotekę uniwersytecką. Jako ówczesny rektor zwróciłem się do wrocławian z apelem o pomoc i odzew był serdeczny i natychmiastowy. Ludzie bronili przed wodą swojego miasta, a w nim swojego uniwersytetu. Po roku 1989 miasto wyłoniło silny samorząd, wypiękniło i nawet było przez rok Europejską Stolicą Kultury. Jest znane z gościnności i otwartości.

Od roku 1945, kiedy 15 listopada odbyły się pierwsze polskie wykłady na wrocławskim uniwersytecie i politechnice, mija 75 lat. I nie ma wątpliwości: Wrocław jest polski.

ROMAN DUDA

Uniwersytet Wrocławski



PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA publikacje online – [link](#)

Demonstracje historyczne, ale mało ożywione historią

Istnieje legenda, że jakiś student prawa otrzymał dobrą ocenę, gdy na prośbę profesora spojrzął, kto hałasuje za oknem, i powiedział: „przedmioty i podmioty prawa”. Zatem ja też patrzę jako historyk na demonstracje, które nas otaczają. Nie postawiłem jednak pytania o długi ciąg wydarzeń, o podobieństwo lub odmienności z dawnymi zaszłościami, nie sytuowałem się – jak często w naszej konfraterni – w roli kronikarza. Zastanowiło mnie, jakie odwołania do przeszłości pojawiają się w tym ruchu. Na podstawie wieloletnich doświadczeń ze studentami kierunków innych niż mój nie podzielałem zdania, jakoby Polacy byli uczuleni na historię. Tak, funkcjonuje na co dzień świadomość paru dawno zaszłych faktów, najczęściej uproszczonych, na których część elit usiłuje budować albo sama je rozdmuchuje jako sztandary. Dopiero w momentach różnych wstrząsów dziejowych mocniej ujawniają się treści historyczne, niekoniecznie zresztą zgodne z rzeczywistością, oraz pamięć dawnego doświadczenia.

Obecnie już samo, oczywiście nie powszechne, ale słyszalne, porównywanie „dobrej zmiany” do PRL, także budynku przy ul. Nowogrodzkiej do siedziby PZPR na Nowym Świecie, oraz, co nie najmniej ważne, postaci Jarosława Kaczyńskiego do I sekretarza, bywało formą mówienia przez odwoływanie się do historii. Teraz ciągle wraca obserwacja, że przez 30 lat od transformacji nie widzieliśmy tak dużych demonstracji – co jest formą podkreślenia ich wagi przez patrzenie wstecz. W Szczecinie manifestanci gromadzili się na pl. Solidarności – nawiązując w ten sposób do 1980 r. Władysław Frasyniuk miał się wyrazić: „Kaczka Orła nie pokona, skończy jak wrona”. Oświadczenie Jarosława Kaczyńskiego, wygłoszone na tle flag narodowych, nieraz porównywano do przemówienia gen. Jaruzelskiego 13 grudnia. Nawiązując do wystąpienia tegoż Jarosława Kaczyńskiego w Sejmie, w którym wicepremier groził opozycji jako – według niego – sprowadzającej powszechne niebezpieczeństwo, prof. Tomasz Strzembosz również użył historii jako specyficznego alfabetu „na dziś”. Zwrócił mianowicie uwagę, że z młodzieżą, która jeszcze sama nie doznała pałowania (w domyśle: jest bardziej odważna!), jeszcze nikt nie wygrał. Argumentując, powołał doświadczenie paru momentów swojego życia. Od siebie skomentując, iż faktem jest, że decydującą siłą końcowego sprzeciwu wobec komunizmu byli ci, którzy szczęśliwie nie zaznali stalinizmu i dzięki temu nie zawsze wiedzieli, co czynią.

Karol Krupiak w piosence „Osiem gwiazd (wojna)”, która staje się teraz popularna, śpiewa:

[...]

My mamy dziadków, co widzieli razem nazizm i komunizm

Teraz chyba nasza kolej, my spłacimy długi

Rząd jest nagle taki grzeczny, tak ich bolą bluzgi
Dobre te z ich telewizji, bez pozdrowień Kurski
[...]

Na ulicach, na balkonach, wszędzie 8 gwiazdek
Pora się pakować, właśnie kończy się wasz czas
Co wy tam bronicie – rodzinę, tradycję?

Jak tradycja trochę inna, to zawsze macie milicję
[...]

Poruszanie się w jakimś momencie demonstracji na pl. Zawiszy w Warszawie w rytmie „Poloneza” nie było dosłownie odwołaniem się do historii, ale było nawiązaniem do tradycji (prawda, że może najbardziej do tradycji szkolnych studniówek). Może zresztą prościej: było podkreśleniem miłego współreagowania młodych – jak to w tańcu.

Nawiązania do historii zdarzają się więc, ale nie wydają mi się silne. Nie jest ona jednym z punktów sporu, nie szuka się w niej legitymizacji, nie chce się powrotu do przeszłości... jak w różnych sprawach, przynajmniej nominalnie, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. Ciekawe zresztą, że tego nie ma – bo przecież partia PiS „od zawsze” odwoływała się do historii. Poświęcała jej mnóstwo uwagi, mówiła o niej więcej niż o przyszłych perspektywach, uznawała się za jej prawowitego dziedzica i kontynuatora. W zakresie dziejów najnowszych przemoblowywała ich wizję, przedstawiała na swój sposób, traktowała odniesienia się do historii jako element „wstawiania z kolan”. Nawet teraz, gdy Jarosław Kaczyński zabrał głos, mówił z pozycji dziedzica dziejów: „To atak, który ma zniszczyć Polskę. Ma doprowadzić do triumfu sił, których władza w gruncie rzeczy zakończy historię narodu polskiego, tak jak dotąd go postrzegaliśmy. Tego narodu, który jest naszym narodem, który mamy w naszych umysłach i w naszych sercach. Który jest przedmiotem naszego patriotyzmu”.

Tymczasem, według stanu na dzień dzisiejszy (rankiem 30 października), odnosi się wrażenie, że PiS, kładąc nacisk na wizję przeszłości, nie utrafił w to, co jest ważne dla nowego pokolenia. Ono buntuje się w imię spraw dzisiejszych. Dla niego nie odwołania do historii są narzędziem walki oraz punktem zbornym kontestatorów, ale choćby wulgaryzmy. W tym wypadku one nie są wyrazem chamstwa, lecz bronią i wyróżnikiem. Sam chętnie buntowałbym się m.in. przeciw zawłaszczaniu historii przez obóz rządzący i jego działaniom przeciw różnorodności wizji przeszłości – ale właśnie należą do poprzedniego pokolenia. To obecnie manifestujące zapewne nawet nie wie, czym kończy się monopolizacja wizji historii i jej rozgrywanie w ramach polityki – bowiem szczęśliwie żyło już w społeczeństwie, w którym historycy funkcjonowali lepiej lub gorzej, ale nie tworzyli już w okrojonych ramach. No i tym moim nawiązaniem do historii uczynię ją bardziej obecną w tych dniach.

MARCIN KULA

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie
Członek korespondent PAU



Wydarzenia – link

Muzeum Fotografii zaprasza

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacja.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.